

CZY NA PEWNO CHCESZ WIEDZIEĆ, KIM JESTEŚ?

TESS GERRITSEN

Sobowtór



Prolog

Ten chłopak znów się jej przyglądał.

Czternastoletnia Alice Rose próbowała skupić się na dzieściu leżących przed nią na ławce pytaniach egzaminacyjnych, ale zamiast o tematach z angielskiego myślała o Elijahu. Wyczuwała jego spojrzenie, jak promień wycelowany w jej twarz, czuła na policzku jego ciepło i wiedziała, że się czerwieni.

Skoncentruj się, Alice!

Kolejne pytanie testu było niewyraźnie odbite na powielaczu i musiała zmrużyć oczy, by je odczytać.

Charles Dickens dobiera często imiona odpowiadające cechom jego postaci. Podaj przykłady i napisz, dlaczego dane imię pasuje do określonej osoby.

Alice gryzła ołówek, próbując sklecić odpowiedź. Ale nie potrafiła myśleć, gdy on siedział w sąsiedniej ławce, tak blisko, że czuła woń sosnowego mydła i palonego drewna. Zapach mężczyzny. Dickens... Kogo obchodził Charles Dickens, Nicholas Nickleby i nudny egzamin z angielskiego, gdy patrzył na nią zachwycający Elijah Lank? Boże, był taki przystojny,

z tymi czarnymi włosami i niebieskimi oczami. Oczami Tony'ego Curtisa. To właśnie pomyślała, gdy ujrzała go po raz pierwszy: że wygląda dokładnie jak Tony Curtis, którego piękna twarz jaśniała ze stronic jej ulubionych czasopism „Modern Screen” i „Photoplay”.

Pochyliła głowę i gdy włosy opadły jej na twarz, spojrzała ukradkiem w bok przez zasłonę jasnych kosmyków. Poczuła mocne bicie serca, stwierdziwszy, że rzeczywiście na nią patrzy, i to nie tak lekceważąco jak wszyscy inni chłopcy w szkole, ci złośliwcy, przez których czuła się tępa i nierozgarnięta. Ich drwiące szepty były zawsze zbyt ciche, by mogła rozróżnić słowa. Wiedziała, że jej dotyczą, bo szepcząc, patrzyli na nią. To byli ci sami chłopcy, którzy przykleili do jej szafki zdjęcie krowy i muczeli, gdy przypadkiem otarła się o nich na korytarzu. Ale Elijah patrzył na nią zupełnie inaczej. Uwodzicielsko. Oczami filmowego gwiazdora.

Uniosła powoli głowę i spojrzała na niego, tym razem nie zza zasłony włosów, lecz śmiało napotykając jego wzrok. Skończył już pisać test i odwrócił kartkę, położywszy ołówek na blacie. Koncentrował na niej teraz całą uwagę. Jego spojrzenie pozbawiało ją tchu.

Lubi mnie. Wiem to.

Dotknęła ręką szyi, górnego guzika bluzki. Musnąwszy palcami skórę, poczuła falę ciepła. Przypomniła sobie płomienisty wzrok Tony'ego Curtisa, gdy patrzył na Lanę Turner. Takie spojrzenie odbierało dziewczynie mowę i sprawiało, że miękły jej kolana. Potem następował nieuchronny pocałunek. I wtedy obraz na ekranie zawsze tracił ostrość. Dlaczego tak musiało być? Dlaczego zachodził mgłą właśnie w chwili, gdy najbardziej chciało się patrzeć...

— Czas minął! Proszę oddać kartki.

Alice spojrzała ponownie na odbity na powielaczu test. Nie odpowiedziała jeszcze na połowę pytań. No nie... Dlaczego zabrakło jej czasu? Znała odpowiedzi. Potrzebowała tylko jeszcze paru minut...

— Alice. Alice!

Podniosła wzrok i zobaczyła wyciągniętą rękę pani Meriweather.

— Nie słyszałaś? Musisz oddać kartkę.

— Ale ja...

— Żadnych wymówek. Zacznij wreszcie słuchać, Alice. — Pani Meriweather chwyciła jej test i poszła dalej między rzędami ławek. Alice wiedziała, że siedzące tuż za nią koleżanki plotkują na jej temat, choć prawie nie słyszała ich szeptów. Odwróciwszy się, zobaczyła, jak pochylają się ku sobie, zasłaniając dłońmi usta i tłumiąc chichot. *Alice potrafi czytać z ruchu warg, więc nie dajmy jej zauważyć, że o niej mówimy.*

Teraz śmiali się już także chłopcy, wskazując na nią. Co ich tak rozbawiło?

Alice spojrzała w dół i ku swemu przerażeniu zauważyła, że odpadł jej górny guzik bluzki, odsłaniając dekolte.

Szkolny dzwonek obwieścił koniec lekcji.

Alice chwyciła torbę z książkami i przyciskając ją do piersi, wybiegła z klasy. Nie odważyła się spojrzeć nikomu w oczy, tylko szła przed siebie ze spuszczoną głową, bliska płaczu. Wpadła do toalety i zamknęła się w kabinie. Gdy nadeszły inne dziewczęta i mizdrzyły się ze śmiechem przed lustrami, Alice siedziała ukryta za drzwiami. Czuła ich perfumy z każdym powiewem powietrza, gdy któraś wchodziła lub wychodziła. Książniczki w nowiutkich sweterkach. One nigdy nie gubiły guzików. Nie przychodziły do szkoły w znoszonych spódnicach i butach z kartonowymi podeszwami.

Idźcie już sobie. Błagam, idźcie już.

Drzwi przestały się w końcu otwierać.

Przywierając do ścianki kabiny, Alice nasłuchiwała, czy ktoś został jeszcze w toalecie. Gdy wyjrzała przez szczelinę, zobaczyła, że przed lustrem nikt już nie stoi. Dopiero wtedy wymknęła się na zewnątrz.

Korytarz również opustoszał. Wszyscy już poszli. Nie było nikogo, kto mógłby jej dokuczyć. Szła przygarbiona długim korytarzem, obok poobijanych szafek i plakatów obwieszczających, że za dwa tygodnie będzie zabawa z okazji Halloween. Nie wybierała się na nią. Czuła jeszcze palące upokorzenie po potańcówce z ubiegłego tygodnia i pewnie nigdy tego nie zapomni. Przez dwie godziny stała samotnie pod ścianą, mając nadzieję, że jakiś chłopak poprosi ją na parkiet. A gdy jeden w końcu podszedł, nie chodziło o taniec. Zgiął się nagle wpół i zwymiotował na jej buty. Tańce się dla niej skończyły. Mieszkała w tym mieście dopiero od dwóch miesięcy, a pragnęła już, by matka spakowała ich rzeczy i przeniosła się z nią w jakieś miejsce, gdzie mogłyby zacząć od nowa. Gdzie wszystko wyglądałoby wreszcie inaczej.

Tylko że nigdy tak nie było.

Wyszła ze szkoły na jesienne słońce. Pochyliwszy się nad rowerem, otwierała z takim skupieniem kłódkę, że nie usłyszała kroków. Dopiero gdy jej twarz przesłonił cień, zdała sobie sprawę, że stoi przy niej Elijah.

— Cześć, Alice.

Podniosła się tak gwałtownie, że rower przewrócił się na ziemię. O Boże, czuła się jak idiotka. Jak mogła być tak niezdarna?

— To był trudny egzamin, prawda? — Elijah wyrzekł te słowa powoli, dobitnie. To też jej się w nim podobało. W od-

różnieniu od innych chłopaków zawsze mówił wyraźnie, nie bełkotał. I nie zasłaniał ust. Zna mój sekret, pomyślała. A jednak chce się ze mną przyjaźnić.

— Odpowiedziałas na wszystkie pytania?

Pochyliła się, by podnieść rower.

— Znałam odpowiedzi. Zabrakło mi tylko czasu. — Wyprostowała się i zobaczyła, że wpatruje się w jej bluzkę. W miejscu, gdzie odpadł guzik. Zaczerwieniła się i skrzyżowała ręce na piersiach.

— Mam agrafkę — oznajmił.

— Co?

Sięgnął do kieszeni i wyjął agrafkę.

— Też zawsze gubię guziki. To trochę krępujące. Daj, pomogę ci.

Wstrzymała oddech, gdy dotknął jej bluzki. Z trudem opanowywała drżenie, kiedy wsunął palec pod materiał, żeby zapiąć agrafkę. Czy czuje, jak wali mi serce? — zastanawiała się. Czy wie, że kręci mi się w głowie, gdy czuję jego dotyk?

Kiedy się cofnął, odetchnęła głęboko. Spojrzała w dół i zauważyła, że jest skromnie zapięta pod szyją.

— Lepiej? — spytał.

— O tak! — Zamilkła, aby się opanować, po czym dodała z królewską godnością: — Dziękuję, Elijahu. Jesteś bardzo uczynny.

Milczeli przez chwilę. Słychać było krakanie wron, a jesienne liście wyglądały jak jasne płomienie, ogarniające gałęzie nad ich głowami.

— Mogłabyś mi w czymś pomóc, Alice? — spytał.

— W czym?

Och, co za głupia odpowiedź! Powinnaś powiedzieć: tak! Tak, zrobię dla ciebie wszystko, Elijahu Lank.

— Mam zadanie z biologii. Potrzebuję kogoś do pomocy i nie wiem, kogo innego mógłbym poprosić.

— Co to za zadanie?

— Pokażę ci. Musimy podjechać do mnie.

Do jego domu! Nigdy nie była u żadnego chłopaka.

Skinęła głową.

— Zostawię tylko u siebie książki.

Wyciągnął rower ze stojaka. Był niemal równie zużyty jak jej, z pordzewiałymi błotnikami i obłazącym siodelkiem. Przez ten stary rower polubiła go jeszcze bardziej. Pasujemy do siebie, pomyślała. Tony Curtis i ja.

Pojechali najpierw do jej domu. Nie zaprosiła go do środka. Wstydiła się starych mebli i farby obłazącej ze ścian. Wpadła tylko do środka, rzuciła torbę z książkami na kuchenny stół i wybiegła.

Niestety, Buddy, pies jej brata, także wyskoczył. Gdy wychodziła frontowymi drzwiami, przeleciał obok niej jak czarno-biała torpeda.

— Buddy! — krzyknęła. — Wracaj!

— Nie bardzo cię słucha, co? — zauważył Elijah.

— Bo to głupi pies. Buddy!

Kundel obejrzał się, machając ogonem, i pobiegł dalej drogą.

— Nieważne — powiedziała Alice. — Wróci do domu, jak będzie chciał. — Wsiadła na rower. — Gdzie mieszkasz?

— Przy Skyline Road. Byłaś tam kiedyś?

— Nie.

— Trzeba podjechać spory kawałek pod górę. Dasz radę?

Skinęła głową. *Dla ciebie zrobię wszystko.*

Oddalili się od jej domu. Miała nadzieję, że skręci w główną ulicę i miną sklep z napojami, gdzie dzieciaki szły zawsze po lekcjach słuchać szafy grającej i sączyć wodę sodową. Zobaczą,

jak jedziemy razem, pomyślała. To dopiero dziewczyny będą miały o czym gadać. Alice i niebieskooki Elijah!

Ale nie pojechał z nią główną ulicą. Skręcił w Locust Lane, gdzie nie było prawie żadnych domów, tylko kilka zakładów i parking dla pracowników fabryki konserw. Trudno. Ale chociaż jechała z nim. Na tyle blisko, że widziała jego napięte uda i pośladki wsparte na siodełku.

Odwrócił głowę i jego czarne włosy rozwiały się na wietrze.

— Radzisz sobie, Alice?

— Tak. — Prawdę mówiąc, brakowało jej już tchu, bo wyjechali z miasta i zaczęli wspinaczkę pod górę. Elijah musiał jeździć tam rowerem codziennie, był więc przyzwyczajony. Pedałował niemal bez wysiłku. Jego nogi pracowały jak potężne tłoki. Ale Alice dyszała, naciskając mocno pedały. Dostrzegła kątem oka psa. Spojrzawszy w bok, zobaczyła, że Buddy ich goni. Był też wyraźnie zmęczony. Biegł z wysuniętym językiem, starając się za nimi nadążyć.

— Wracaj do domu!

— Co mówiłaś? — Elijah spojrzał na nią.

— To znów ten głupi pies — odparła zdyszana. — Cały czas za nami biegnie. W końcu.... się zgubi.

Skarciła Buddy'ego wzrokiem, ale on nadal biegł obok, głupio zadowolony. A leć sobie, pomyślała. Wykończ się. Co mnie to obchodzi.

Jechali dalej pod górę. Droga wiła się łagodnymi serpentynami. Wśród drzew migało chwilami daleko w dole Fox Harbor. W popołudniowym słońcu tafla wody przypominała lśniąca miedź. Potem drzewa przesłoniły wszystko i Alice widziała już tylko las, przybrany w olśniewające czerwone i pomarańczowe barwy. Kręta droga była przysypana liśćmi.

Kiedy Elijah w końcu się zatrzymał, Alice tak drżały z wysił-

ku nogi, że z trudem mogła stać. Buddy'ego nie było nigdzie widać. Miała nadzieję, że trafi do domu, bo nie zamierzała go szukać. Na pewno nie teraz, gdy Elijah stał obok i uśmiechał się do niej z błyskiem w oczach. Oparłszy rower o drzewo, zarzucił torbę z książkami na ramię.

— To gdzie jest twój dom? — spytała.

— Tam. — Wskazał na drogę, gdzie stała na słupku zarzewiała skrzynka na listy.

— Nie idziemy do ciebie?

— Nie. Moja kuzynka leży chora. Wymiotowała przez całą noc, więc lepiej tam nie wchodzimy. Zresztą robię doświadczenia tutaj, w lesie. Zostaw rower. Musimy kawałek przejść.

Oparła rower o drzewo, tuż obok jego i poszła za Elijahem. Nogi drżały jej jeszcze od jazdy pod górę. Zagłębili się w las. Drzewa rosły gęsto, a ziemię pokrywał gruby dywan liści. Podążała za nim dzielnie, oganiając się od komarów.

— Więc mieszka z tobą kuzynka? — spytała.

— Tak. Przyjechała do nas w zeszłym roku. Teraz już chyba zostanie. Nie ma się gdzie podziąć.

— Twoi rodzice się na to zgadzają?

— Mam tylko ojca. Mama nie żyje.

— O... — Nie wiedziała, co odpowiedzieć. W końcu mruknęła po prostu „przykro mi”, ale chyba tego nie słyszał.

Zarośla gęstniały coraz bardziej i jeżyny drapały jej gołe nogi. Z trudem za nim nadążała. Popędził naprzód, zostawiając ją z sukienką zaczepioną o krzak jeżyn.

— Elijahu!

Nie odpowiedział. Szedł dalej, jak śmiały odkrywca, z przewieszoną przez ramię torbą.

— Zaczekaj!

— Chcesz to zobaczyć czy nie?

— Tak, ale...

— To chodź. — W jego głosie pojawił się ton zniecierpliwienia, który ją przestraszył. Stał w odległości paru metrów, patrząc na nią, i zauważyła, że zaciska pięści.

— W porządku — odparła potulnie. — Już idę.

Kilka metrów dalej wyloniła się nagle polana. Alice ujrzała stare kamienne fundamenty, pozostałe po nieistniejącym od dawna gospodarstwie. Elijah spojrzał na nią. Popołudniowe słońce znaczyło plamkami jego twarz.

— To tutaj — oznajmił.

— Co?

Pochylił się i odsunął dwie drewniane deski, odsłaniając głęboką dziurę.

— Zajrzyj do środka — powiedział. — Kopalem to trzy tygodnie.

Podeszła powoli do jamy i zajrzała w głąb. Popołudniowe słońce znikало za drzewami i dno dziury było w cieniu. Dostrzegła tam warstwę zeschniętych liści i zwisającą z boku linę.

— To pułapka na niedźwiedzia czy coś w tym rodzaju?

— Niewykluczone. Gdybym położył na wierzchu gałęzie, żeby zasłonić otwór, mógłbym schwytać nawet jelenia. — Wskazał w głąb dziury. — Widzisz, co tam jest?

Pochyliła się niżej. W cieniu na dnie coś niewyraźnie lśniło. Plamki bieli pod rozrzuconymi liśćmi.

— Co to jest?

— Mój eksperyment. — Sięgnął po linę i pociągnął za nią.

Liście na dnie jamy zaszeleściły i zawirowały. Alice patrzyła, jak lina się napręża, gdy Elijah wydobywał coś z cienia. Był to koszyk. Wyciągnął go z jamy i postawił na ziemi. Odgarnąwszy liście, pokazał jej, co lśniło bielą na dnie dziury.

Zobaczyła niewielką czaszkę.

Gdy strzepał liście, ujrzała kępki czarnego futra, patykowate zębra, guzkowate kręgi i cienkie jak gałązki kości łap.

— Niezłe, co? Już nawet nie cuchnie. Jest tu prawie od siedmiu miesięcy. Kiedy sprawdzałem ostatnim razem, były na nim jeszcze kawałki mięsa. Ciekawe, jak i ono łatwo znika. Zaczęło gnić naprawdę szybko w maju, gdy zrobiło się ciepło.

— Co to jest?

— Nie wiesz?

— Nie.

Podniósłszy czaszkę, przekręcił ją lekko i oderwał od kręgosłupa. Alice wzdygnęła się, gdy podsunął ją w jej kierunku.

— Przestań! — pisnęła.

— Miau!

— Elijahu!

— Pytałaś, co to jest.

Wpatrywała się w puste oczodoły.

— To kot?

Elijah wyjął z torby z książkami worek na zakupy i zaczął wkładać do niego kości.

— Co zrobisz z tym szkieletem?

— To temat mojej pracy. Jak kot zamienia się w szkielet w siedem miesięcy.

— Skąd go wzięłeś?

— Znalazłem.

— Tak po prostu znalazłeś martwego kota?

Spojrzał na nią roześmianymi niebieskimi oczami. Ale nie były to już oczy Tony'ego Curtisa. Przerażały ją.

— Kto powiedział, że był martwy?

Poczuła nagle, jak wali jej serce. Zrobiła krok do tyłu.

— Chyba muszę już wracać do domu.

— Dlaczego?

— Mam zadanie domowe.

Stanął nagle przy niej, podnosząc się bez wysiłku. Nie uśmiechał się już, tylko patrzył wyczekująco.

— No to... do zobaczenia w szkole — rzekła niepewnie. Cofnęła się, spoglądając w lewo i w prawo na las, który wyglądał z każdej strony tak samo. Skąd przyszli? Którędy powinna wracać?

— Przecież ledwie się tu zjawiłaś, Alice — powiedział. Trzymał coś w ręce. Dopiero gdy uniósł to nad głowę, zobaczyła, co tak ścisnął.

Kamień.

Cios powalił ją na kolana. Przyklęknęła na ziemi. Pociemniało jej w oczach i miała odrętwiałe kończyny. Nie czuła bólu, tylko tępe zdumienie, że ją uderzył. Zaczęła się czołgać, ale nie widziała, dokąd idzie. Chwycił ją za kostki i pociągnął do tyłu. Ocierała twarzą o ziemię, gdy włókł ją za nogi. Próbowwała go kopać, krzyczeć, ale usta miała zapchane błotem i gałązkami. Ciągnął ją w kierunku jamy. Poczuvszy, że traci grunt pod nogami, uchwyciła się drzewka i zawisała na jej krawędzi.

— Puść, Alice — rozkazał.

— Wyciągnij mnie! Wyciągnij!

— Powiedziałem, puść! — Uniósł kamień i uderzył ją w rękę.

Krzyknęła i puściwszy drzewko, zsunęła się w głąb jamy, lądując na warstwie suchych liści.

— Alice. Alice.

Oszołomiona upadkiem spojrzała na widoczny w górze krąg nieba i zobaczyła zarys jego głowy, gdy pochylał się i patrzył na nią.

— Dlaczego to robisz? — spytała, szlochając. — Dlaczego?

— Nie mam nic do ciebie. Chcę tylko sprawdzić, ile czasu to potrwa. Z kotem siedem miesięcy. A z tobą, jak myślisz?

— Nie możesz mi tego zrobić!

— Żegnaj, Alice.

— Elijahu! Elijahu!

Drewniane deski zakryły otwór, zasłaniając krąg światła. Przestała widzieć niebo. To się nie dzieje naprawdę, pomyślała. To żart. Próbuje mnie tylko przestraszyć. Przetrzyma mnie tu kilka minut, a potem wróci i mnie wypuści. Jasne, że wróci.

Nagle usłyszała u góry głuchy łoskot. *Kamienie. Układa na deskach kamienie.*

Wstała i próbowała wydostać się z jamy. Chwyciła uschniętą gałązkę winorośli, która natychmiast rozsypała jej się w rękach. Drapała palcami ziemię, ale nie znalazła żadnego oparcia dla rąk, nie mogła podciągnąć się choćby kilkanaście centymetrów, bo zaraz osuwała się z powrotem. Jej krzyki przeszywały ciemność.

— Elijahu! — pisała desperacko.

Jedyną odpowiedzią były uderzenia kamieni o deski.

Rozdział pierwszy

*Pesez le matin que vous n'irez peut-être pas jusqu'au soir,
Et au soir que vous n'irez peut-être pas jusqu'au matin.*

Bądź świadom każdego ranka, że możesz nie przeżyć dnia,
I każdego wieczoru, że możesz nie przeżyć nocy.

(napis wyryty na katakumbach w Paryżu)

Stojące rzędem czaszki spoglądały złowrogo ze sterty ułożonych misternie kości udowych i piszczeli. Choć był czerwiec i doktor Maura Isles wiedziała, że na ulicach Paryża, dwadzieścia metrów nad nią, świeci słońce, przenikał ją dreszcz, gdy szła mrocznym korytarzem, którego ściany wyłożone były niemal pod sufit ludzkimi szczątkami. Obcowała — nawet bardzo blisko — ze śmiercią i mnóstwo razy stawiała z nią twarzą w twarz przy sekcji zwłok, ale oszałamiał ją ogrom tego miejsca, liczba kości zgromadzonych w labiryncie tuneli pod Miastem Światła. Kilometrowa trasa zwiedzania obejmowała jedynie niewielką część katakumb. Niedostępne dla turys-

tów były liczne boczne tunele i wypełnione kośćmi komnaty, których mroczne wnętrza wзираły kusząco zza zamkniętych bram. Znajdowały się tam szczątki sześciu milionów paryżan, których twarze rozgrzewały kiedyś promienie słońca, którzy zaznawali głodu, pragnienia, miłości, czuli w piersiach bicie swoich serc i ruch powietrza w płucach. Nie wyobrażali sobie nigdy, że pewnego dnia ich kości zostaną wydobyte z miejsc pochówku na cmentarzach i przeniesione do tego ponurego grobowca w podziemiach miasta.

Że pewnego dnia zostaną wystawieni na pokaz hordom ciekawskich turystów.

Półtora wieku temu, aby zrobić miejsce dla nowych zmarłych na przetłoczonych paryskich cmentarzach, wykopano kości i złożono je w ogromnym labiryncie dawnych kamieniołomów, głęboko pod miastem. Robotnicy, którzy przenosili kości, nie rzucali ich niedbale na stosy, lecz wykonali swe makabryczne zadanie z polotem, układając je starannie w wymyślne konfiguracje. Jak wybredni kamieniarze, zbudowali wysokie ściany, ozdobione układanymi na przemian warstwami czaszek i kości długich, przekształcając szczątki w artystyczną wizję. Powiesili też tablice z ponurymi cytatami, które przypominały wszystkim idącym wzdłuż tych korytarzy, że śmierć nikogo nie oszczędza.

Jedna z tablic zwróciła uwagę Maury. Przystanęła w tłumie turystów, by ją przeczytać. Gdy tłumaczyła z trudem pojedyncze słowa, korzystając ze swej słabej szkolnej znajomości francuskiego, usłyszała rozbrzmiewający echem w mrocznych korytarzach absurdalny odgłos dziecięcego śmiechu i wypowiedziane pod nosem z teksaskim akcentem słowa mężczyzny, który mruknął do żony: „Co za niesamowite miejsce, Sherry. Człowieka przechodzą ciarki...”.

Para Teksańczyków poszła dalej i ich głosy zamarły w ciszy. Przez chwilę Maura stała sama w niszy, wdychając kurz stuleci. W mrocznej poświacie tunelu widać było na czaszkach pleśń, okrywającą je zielonkawą powłoką. W jednej z nich dostrzegła otwór po kuli, wyglądający jak trzecie oko.

Wiem, jak zginąć.

Chłód tunelu przeniknął do jej własnych kości. Nie ruszyła się jednak, zdecydowana przetłumaczyć napis na tablicy, stłumić strach dzięki bezużytecznej intelektualnej zagadce. Co jest, Mauro? Trzy lata francuskiego w szkole i nie potrafisz sobie z tym poradzić? To było osobiste wyzwanie. Odsunęła od siebie chwilowo wszelkie myśli o śmierci. Nagle słowa motta nabrały znaczenia i poczuła, jak zastyga jej krew...

*Szczęśliwy, kto zawsze oczekuje godziny śmierci
I każdego dnia gotów jest umrzeć.*

Spostrzegła nieoczekiwanie, że otacza ją cisza. Nie słyszała żadnych rozmów ani odgłosów kroków. Odwróciła się i wyszła z ponurej wnęki. Jak to się stało, że została tak daleko za innymi turystami? Była sama w tunelu, sama z umarłymi. Pomyślała, że w razie nieoczekiwanej awarii prądu mogłaby zabłądzić w nieprzeniknionych ciemnościach. Słyszała o paryskich robotnikach, którzy sto lat temu zgubili się w katakumbach i zmarli z głodu. Przyspieszyła kroku, starając się dogonić pozostałych, dołączyć do towarzystwa żyjących. Czuła w tych korytarzach zbyt bliski oddech śmierci. Czaszki zdawały się spoglądać na nią z pogardą, chór sześciu milionów zmarłych gromił ją za upiorną dociekliwość.

Byliśmy kiedyś równie żywi jak ty. Sądzisz, że unikniesz w przyszłości tego, co tu widzisz?

Gdy wyłoniła się w końcu z katakumb i wyszła na słońce przy rue Remy Dumoncel, wciągnęła głęboko powietrze. Cieszył ją, jak nigdy, gwar uliczny i tłum ludzi, jakby dostała właśnie szansę rozpoczęcia na nowo życia. Kolory wydawały jej się jaśniejsze, twarze bardziej przyjazne. To mój ostatni dzień w Paryżu, pomyślała, a dopiero teraz doceniam naprawdę urok tego miasta. Spędziła większość minionego tygodnia zamknięta w salach obrad, uczestnicząc w Międzynarodowej Konferencji Patologii Sądowej. Niewiele było czasu na zwiedzanie, a na zorganizowanych dla nich wycieczkach oglądali miejsca powiązane ze śmiercią i chorobami: muzeum medycyny, dawną salę operacyjną.

I katakumby.

Jak na ironię, spośród wszystkich wspomnień, jakie miała przywieźć z Paryża, najbardziej żywe będą te dotyczące ludzkich szczątków. To nie jest normalne, pomyślała, siedząc w kafejce na powietrzu i delektując się ostatnią filiżanką kawy espresso i ciastem truskawkowym. Za dwa dni znajdę się z powrotem w prosektorium, otoczona przedmiotami z nierdzewnej stali, odcięta od promieni słońca. Będę wdychała tylko zimne, filtrowane powietrze z klimatyzatora. Ten dzień stanie się wspomnieniem z raj.

Nie spieszyła się, starając się zapamiętać jak najwięcej. Aromat kawy, maślany smak ciasta. Gawędzących biznesmenów z przytkniętymi do uszu telefonami komórkowymi, związane fantazyjnie chusty, powiewające na szyjach kobiet. Wyobrażenia podsuszała jej myśl, która musiała zaświtać w głowie każdego Amerykanina odwiedzającego Paryż: a gdyby tak nie zdążyć na samolot? Na resztę życia zostać tutaj, w tej kafejce, w tym cudownym mieście?

W końcu wstała jednak od stolika i zatrzymała taksówkę, by

pojechać na lotnisko. Pozostawiała marzenia, Paryż, ale tylko dlatego, że przyrzekła sobie pewnego dnia tam powrócić. Nie wiedziała jedynie kiedy.



Jej lot był opóźniony trzy godziny. Mogłabym pospacerować sobie w tym czasie nad Sekwaną, pomyślała rozczerowana, siedząc na lotnisku Charles'a de Gaulle'a. Przez trzy godziny mogłam włączyć się po Marais albo myszkować w Les Halles. A tymczasem tkwiła uwięziona na lotnisku, tak zatłoczonym podróżnymi, że nie mogła znaleźć miejsca do siedzenia. Gdy wreszcie znalazła się na pokładzie samolotu Air France, była wykończona i całkowicie skołowana. Wystarczyła lampka wina i posiłek, aby zapadła w głęboki sen.

Przebudziła się dopiero wtedy, gdy maszyna podchodziła do lądowania w Bostonie. Bolała ją głowa, a zachodzące słońce raziło w oczy. Ból głowy nasilił się jeszcze, gdy czekała na bagaż, patrząc na kolejne zjeżdżające z taśmy walizki i nie znajdując swojej. Stała w kolejce, by zgłosić zaginięcie bagażu, i czuła niezdolne pulsowanie w skroniach. Kiedy w końcu wsiadła do taksówki, mając tylko podręczną torbę, zapadł już zmrok i marzyła jedynie o gorącej kąpieli i solidnej dawce advilu. Osunęła się na siedzenie taksówki i znów zapadła w sen.

Zbudziło ją gwałtowne hamowanie.

— Co się tu dzieje? — usłyszała głos kierowcy.

Dźwignąwszy się, spojrzała zaczerwienionymi oczami na pulsujące niebieskie światła. Dopiero po chwili dotarło do niej, na co patrzy. Nagle zdała sobie sprawę, że skręcili w ulicę, przy której mieszka, i wyprostowała się raptownie, natychmiast przytomniejąc, przerażona tym, co ujrzała. Stały tam zapar-

kowe cztery radiowozy policyjne z Brookline. Migające na ich dachach światła przeszywały ciemność.

— Chyba coś się tu stało — oznajmił kierowca. — To pani ulica, tak?

— A tam jest mój dom. W połowie drogi.

— Gdzie stoją wszystkie radiowozy? Nie sędzę, żeby nas przepuścili.

Jakby na potwierdzenie jego słów podszedł do nich policjant, dając znak, by zawracali.

Taksówkarz wystawił głowę przez okno.

— Muszę wysadzić pasażerkę. Mieszka na tej ulicy.

— Przykro mi, kolego. Cały kwartał jest otoczony kordonem.

Maura pochyliła się naprzód i powiedziała do kierowcy:

— Wsiądę tutaj.

Podawała mu należność, chwyciła podręczną torbę i wysiadła z taksówki. Zaledwie kilka sekund wcześniej była odurzona i półprzytomna, ale teraz ciepła czerwcową noc zdawała się pulsować napięciem. Ruszyła chodnikiem, czując narastający niepokój, w miarę jak zbliżała się do tłumu gapiów i obserwowała zaparkowane przed jej domem policyjne samochody. Czyżby coś się stało któremuś z jej sąsiadów? Przemknęły jej przez głowę różne straszne domysły. Samobójstwo. Morderstwo. Pomyślała o panu Telushkinie, samotnym inżynierze robotyku, który mieszkał obok. Czyż nie był wyraźnie przynębiony, kiedy ostatnio go widziała? Pomyślała także o Lily i Susan, sąsiadkach z drugiej strony, dwóch prawniczkach lesbijkach, których działalność w obronie homoseksualistów narażała je na niebezpieczeństwo. Zauważyła jednak, że Lily i Susan stoją w tłumie, całe i zdrowe, zaczęła się więc martwić ponownie o pana Telushkina, którego nie widziała wśród gapiów.

Lily spojrzała w bok i zobaczyła Maurę. Nie pomachała jej, tylko gapiała się bez słowa, szturchając Susan. Susan odwróciła głowę i na widok Maury szeroko otworzyła usta. Teraz także inni sąsiedzi wpatrywali się w nią ze zdumieniem na twarzach.

Czemu tak na mnie patrzą? — zastanawiała się Maura. Co ja takiego zrobiłam?

— Doktor Isles? — spytał policjant z Brookline, przyglądając się jej. — To pani?

Co za głupie pytanie, pomyślała.

— Mieszkam w tamtym domu. Co się tu dzieje?

Policjant westchnął ciężko.

— Hm... proszę pójść ze mną.

Wziął ją pod ramię i poprowadził przez tłum. Sąsiedzi rozstępowali się z powagą, jakby robili przejście dla skazańca. Zaległa upiorna cisza. Słysząc było tylko trzaski policyjnych nadajników. Doszli do żółtej taśmy, rozciągniętej między słupkami, z których kilka było wbitych w ziemię przed domem pana Telushkina. Jest tak dumny ze swojego trawnika, że nie będzie z tego powodu szczęśliwy, pomyślała natychmiast, zupełnie bez sensu. Policjant uniósł taśmę. Przeszła pod nią pochylona, uświadamiając sobie, że znalazła się na miejscu zbrodni.

Wiedziała o tym, zauważywszy znajomą postać. Mimo dzielącej je odległości rozpoznała po drugiej stronie trawnika detektyw Jane Rizzoli z wydziału zabójstw. Drobną Rizzoli była już w ósmym miesiącu ciąży i wyglądała w spodniach jak dojrzała gruszka. Jej obecność stanowiła kolejny zaskakujący szczegół. Co policjantka z Bostonu robiła w Brookline, poza obszarem swojej jurysdykcji? Rizzoli nie widziała Maury. Wpatrywała się w samochód, zaparkowany przy krawężniku przed domem pana Telushkina. Kręciła głową, wyraźnie prze-

jęta, potrząsając ciemnymi lokami, które miała jak zwykle w nieładzie.

Pierwszy zauważył Maurę partner Rizzoli, detektyw Barry Frost. Spojrzał na nią, potem w bok i jakby zreflektowawszy się nagle, utkwiał w niej wzrok, blady jak ściana. Bez słowa ścisnął Rizzoli za ramię.

Rizzoli znieruchomiała. W blasku niebieskich świateł radio-wozów widać było wyraz niedowierzania na jej twarzy. Podeszła do Maury jak w transie.

— Pani doktor? — spytała cicho. — To pani?

— A któżby inny? Dlaczego wszyscy mnie o to pytają? Dlaczego przyglądacie mi się tak, jakbym była zjawą?

— Ponieważ... — Rizzoli zamilkła. Pokręciła głową, potrząsając niesfornymi lokami. — Chryste. Myślałam przez chwilę, że naprawdę jest pani zjawą.

— Co?

Rizzoli odwróciła się i zawołała:

— Ojcie Brophy?

Maura nie zauważyła wcześniej stojącego samotnie z boku księdza. Teraz wyłonił się z cienia, ze lśniąco białą na szyi koloratką. Jego piękna zwykle twarz była spięta i wyrażała zaskoczenie. Co robi tu Daniel? Księży nie wzywano zwykle na miejsce zbrodni, chyba że rodzina ofiary prosiła o pociechę. Jej sąsiad, pan Telushkin, nie był katolikiem, tylko żydem. Nie wzywałby księdza.

— Mógłby ojciec zaprowadzić ją do domu? — poprosiła Rizzoli.

— Czy ktoś mi wreszcie powie, co tu się dzieje? — zapytała Maura.

— Proszę wejść do środka, pani doktor. Wyjaśnimy to później.